

PRZEŁOM

DWUTYGODNIK POLITYCZNY

CENA 50 groszy

Warszawa, dnia 2. czerwca 1944 r.

ROK I. Nr. 3

O WYOBRAŹNIĘ POLITYCZNA

Przesady.

Dlaczego o wyobraźni? Czy nie słuszniej byłoby napisać: o trzeźwość, o realizm, o rozum?

Połoczny rozsądek uśmiecha się drwiąco na dźwięk słowa „wyobraźnia“. Głupie spryciarstwo, jakże często uchodzące u nas za rozum polityczny, lekceważy sobie wyobraźnię. W jego słowniku znaczy ona mniej więcej tyle, co nieodpowiedzialne rojenia, pułta fantazja, niemal bezmyślność. Poważny i głęboki sens słów start się na pył. Przestano weni wierzyć.

A jednak jest tak właśnie, że bez wyobraźni politycznej nie ma i nie może być polityki. „Stan faktyczny“, ten fetysz snobów realizmu politycznego, jest ledwie pomocniczą wskazówką. To co najważniejsze, decydujące — ukryte jest w głębi. Ale człowiek posiada zdolność oceniania tego, co ukryte, przenikania energii potencjalnej wydarzeń dziejowych. Jeśli te sprawy są mu obce, jeśli polityka przedstawia mu się tylko, jak deska szachisty, gdzie nie ma nic poza kalkulacją posunięć — nie powinien zajmować się jej zagadnieniami. Będą mu zawsze niedostępne. Jeśli w grze swojej opierać się będzie tylko na t. zw. „sprawdzonych danych“ — będzie zawsze spóźniony. Albowiem decyzje zapadają wcześniej, rezultaty konkretne są ich pochodną. Aby wygrać partię, to znaczy aby osiągnąć rezultat pożądaną dla gracza, trzeba opanować myślowo sferę podłoża, to jest bowiem warunkiem podstawowym przewidywania, bez którego nie ma polityki.

Jeden z najbardziej bałamutnych, u nas rozpowszechnionych przesądów głosi, że tylko trzymanie się t. zw. „pewnych konkretnych danych“ jest godne realnego polityka. Ale to nieprawda: **realizm polityczny opiera się przede wszystkim na wyobraźni politycznej.** Jeśli to zdanie obraża czyjeś przyzwyczajenia myślowe, proponujemy łatwe porównanie. Kto jest realistą w interesach: ten kto zabiega tylko o gwarancje prawne — czy też ten, kto nie zaniedbując tamtych niezbędnych formalności, interesuje się przede wszystkim sprawą, kim jest człowiek, z którym wchodzi w stosunki handlowe. W jakiej mierze można na niego liczyć, czego i w jakich okolicznościach po nim się spodziewać? — Jest oczywiście, że tylko drugiemu z tych ludzi przysługuje określenie realisty. Pierwszy, mimo swej ostrożności, będzie ponosił zawsze większe ryzyko. Obstawiał się wprawdzie gwarancjami formalnymi, ale te zawsze można obejść. Nie orientuje się natomiast, że tak się wyrażymy, w terenie psychologicznym. W polityce ta zależność występuje w ustokrotnioną siłą. Bo zakres przewidywania jest szerszy, a przez to samo przewidywanie trudniejsze, sama zaś waga „transakcji“ przekracza niepomniernie wszelkie interesy zawierane między osobami.

Jeśli w świetle tych założeń zapytamy, czy koła prowadzące u nas politykę myślą czy nie myślą realistycznie, odpowiedź wypadnie ujemnie.

Zarówno nasze „nadzieje“ jak i nasze „posunięcia“ polityczne są nasycone duchem kombinatorstwa i odwrócone od procesów, których przeniknięcie daje dopiero klucze do zrozumienia sytuacji. Lubi się mówić, że polityka polega na umiejętności wyzyskiwania okazji. Zgoda. Ale aby okazję wyzyskać, trzeba ją zrozumieć. Aby zaś ją zrozumieć, trzeba się nią przejąć, ocenić właściwie jej wagę, wsłuchać się w jej rytm. Ciasny formalizm, snobizm polityczny i fetyszizm papierka tkwią u źródeł naszych wielkich błędów politycznych.

Szczytowym punktem tego zamroczenia było wysunięcie w krytycznych chwilach poprzedzających wybuch obecnej wojny hasła: „Nie pójdziemy ani z Rosją ani z Niemcami, lecz z wielkimi demokracjami Zachodu“. Sprzymierzył się tu ciasny formalizm z naiwną próżnością „wielkomocarstwową“, której pochlebiali zasiąść w jednym rządzie z narodami bogatymi i już lekko zblazowanymi.

I oto porzuca się tradycję polskiego realizmu politycznego, który zawsze stał na stanowisku, że Polska może opierać się o Rosję albo o Niemcy. Politykę związaną z ziemią i naturalną geopolityczną sytuacją narodu polskiego zastąpiono nadziejami na abstrakcyjne gwarancje. Najwybitniejszy rzecznik naszej polityki „rosyjskie“ Roman Dmowski był ostatnim, który z jakim takim powodzeniem próbował, jeszcze po z bolszewizowaniu Rosji, utrzymać swą tezę do ostatka. Opierał ją na zagrożeniu Sowietów przez Japonię, co miało im wiazać ręce w Europie i — zapewne — na wierze w to, że bolszewizm jest zjawiskiem przemijającym. Oba założenia, jak wiemy, okazały się fałszywe. Japonia wysunęła na plan pierwszy swą walkę z mocarstwami anglosaskimi, zawierając pakt nieagresji z Sowietami; bolszewizm nie tylko że okazał się samowładnym panem Rosji zdolnym do prowadzenia długotrwałej wojny, ale systemem znakomicie zorganizowanym, o wszechświatowych ambicjach imperialistycznych i rozporządzającym siecią agentur zagranicznych odgrywających rolę bastionów rewolucji pobudowanych na obszarach wszystkich kontynentów. Nikt jednak nie miał odwagi powiedzieć, że nasza polityka rosyjska jest pogrzebana. **Bo wtedy logicznym wnioskiem z sytuacji byłoby przyjęcie polityki niemieckiej.** Wybrano jednak papierkową politykę „gwarancji“.

Ani nam w myśl twierdzić, że droga porozumienia z Niemcami była usiana różami. **Twierdzimy tylko, że taka decyzja była i jest jedyną słuszną decyzją, jaka nam pozostała i pozostaje.**

Jak wiemy, drogę do porozumienia z Niemcami przecięliśmy sobie dobrowolnie. I zaczął się chaos.

W chaosie tym dostuchać się można dwóch motywów. Jeden głosi, że „nie taki djabeł straszny, jak go malują“, że jednak porozumienie z Sowietami jest możliwe. Bagaż bredni wypowiedzianych na ten temat w pierwszym okresie wojny sowiecko-niemiec-

kiej był zdumiewająco wielki. Uwiad wyobraźni politycznej osiągał wówczas swoje fantastyczne rekordy. Kurza pamięć, nie pomna całej potwornej historii tego najstraszniejszego nowotwora, jaki kiedykolwiek pasorczytował na ciele udrczonej ludzkości, kojarzyła się z sentymentalnymi reminiscencjami „słowiańskimi“. Lada frazes, lada pochlebstwo bolszewickie przyjmowano za objawienie i porękę przyszłego szczęścia Polski w sojuszu z czerwoną Rosją. Przeskakiwano nad faktami, zatykano uszy na wieści o deportacjach i całej martyrologii polskiej (z tak ścisłym obiektywizmem odmalowanej w znanej broszurze Władysława Studnickiego) ba, były nawet próby zbagatelizowania Katynia!

Te orgie nonsensu niepokoiły jednak resztki rozsądku blakające się po głowach. Wyszynęło więc z tym większym naciskiem (motywy drugi) tezę **przymierza z Anglią.**

Ogłoszono za dogmat: po zwycięstwie aliantów i **zupelnym zniszczeniu Niemiec** odbudowana zostanie Polska niepodległa.

Co prawda, warunkiem tego odbudowania byłoby również rozgromienie Sowietów (bemu zasadniczo nikt z wyjątkiem komuny i kryptokomuny nie przeczył). Przez kogo jednak, jakimi siłami? — Nie wiadomo.

Jeśli wycisnąć to, co na temat celów wojennych mówi się i pisze, dojdziemy właśnie do tych dwóch „twierdzeń podstawowych“.

Oba są klinicznymi przykładami zaniku wyobraźni politycznej.

Zniszczenie Niemiec

Trzeba podkreślić słowo **zniszczenie.** Nie zwycięstwo nad Niemcami, ale zniszczenie narodu niemieckiego, obrócenie go w stan niewolnictwa, rozbrojenie fizyczne i moralne. Narodu przeszło 80-cio milionowego, walecznego, ujawniającego niezwykły hart wobec terroru lotniczego szalejącego od lat nad Rzeszą. Ten to naród ma być zniszczony, rozbrojony, ubezwładniony. Kto, ale my Polacy wiemy najlepiej jak trudno jest zniszczyć naród. — I któżby miał tego dokonać?

Anglicy i Amerykanie. Gdyby zwolennicy tego poglądu mieli trochę wyobraźni politycznej, nie przyjęliby tak pochopnie krzykliwe reklamowane tezy alianckiej o zniszczeniu Niemiec. Zastanowiliby się, czy jest możliwe, **aby kupczyk rozbroił żołnierza.** Nie chodzi o brak środków materialnych. Przypuśćmy na chwilę, że żelazo alianckie zasypałoby Niemcy. Ale na jak długo starczyłoby woli zwycięzców na rozbijanie zwyciężonego? I w imię czego mieliby to robić? Aby nie było nowej wojny? — Oczywiście, ludzie wojny bardzo się boją. Ale aby nad narodem zapanować, nie dość opierać się na tym czysto negatywnym motywie działania. Trzeba mieć wobec zwyciężonych **rację, poczucie, że się do nich przychodzi z głębszą wiedzą o tym, jak powinno wyglądać życie państw i narodów, że się zagadnienie bytu Europy lepiej rozwiązało.** Tego poczucia Anglosasi wobec Niemców nie mają i mieć nie mogą.

ZA NASZĄ

Oba ich państwa są w pełnym kryzysie demokracji ze wszystkimi jej schorzeniami, z którego nie znalazły wyjścia, uwikłane w mąglę półśrodków charakterystyczną dla okresów niezadowolenia i fermentu. Nie można po wszystkim co ludzkość przeżyła i przemyślała przez ostatnie dziesięciolecia, przyjść do narodu, który się ma ujarzmić z ewangelią pięcioprzymiotnikowego głosowania, tradycjami szacherek parlamentarnych, wolnością strajków, swobodą wyzysku i tajemnicami maklerów giełdowych. A przecież z niczym innym by nie przyszli, bo nie innego nie mają. Ręką podniesioną dla wymierzenia ciosu zawisłaby w powietrzu, gdyż głowa nie wiedziałaby jaki jest sens tego ruchu — i kto wie, czy ręka uzbrojona nie trafiłaby na nagą rękę tego, który miał dostać cios i z którego ust padłaby spokojna uwaga: „Przecież sam nie wierzysz w to, co czynisz”. Ów proces „wykończenia” Niemców przypadłby — nie zapominajmy o tym — na czas, kiedy ludy zwycięskie poczułyby po długich latach udręk wojennych nadchodzącą dla nich chwilę wyzwolenia, jedyną okazję dla przedstawienia rachunków za własne krzywdy własnym rządowi. To przekracza plany wygów dyplomatycznych. Stajemy tu wobec spontanicznego procesu dziejowego — porozumienie ludów może być błyskawiczne. Trudno przewidzieć, jakimi potoczą się drogami, może być pełne niespodzianek. Ale — i to jest istotne — Polacy znowu zostaną sam na sam z Niemcami, trybem słuszności obrócenia przeciw skazanemu żydowskiemu duchem stepowi, tej rozsądniczy zarazy, którą trzeba wypalić, aby wogóle móc żyć.

Teza „skruszenia Niemiec” oparta jest na założeniu wielkiego stada maszyn kierowanych przez ludzi bez woli, bez głów, bez wyobraźni — przez dzisiejszych wodzów demokracji. Zapuszczenie się jednak anglosasów w głaz Niemiec może mieć skutki zupełnie nieoczekiwane i bardzo dalekie od tryumfalnego: „Veni, vidi, vici.”

I byliśmy znowu sąsiadami pokonanych militarnie lecz nie duchowo Niemiec. Tylko zupełne wyjałowienie myślowe mogłoby w tej sytuacji dać głos za polityką walki z tym kogo nie zniszczyły czołgi, armaty i samoloty.

Skuszenie Niemiec mogłoby nastąpić tylko w jednym wypadku: w razie pełnego zwycięstwa Sowietów. Stanęlibyśmy wtedy istotnie wobec zupełnie nowej sytuacji. Wielki prąd zniszczenia ze wschodu znalazłby wszystkie potrzebne środki, aby obrócić w niwecz nie tylko Niemcy, ale i Europę. Fala dżumy moskiewskiej zmiołłaby wówczas i nas. Powodzenie niszczylińskiego pochodu Sowietów byłoby zagwarantowane ich potencjałem nienawisici do naszej cywilizacji, ich dzikim mitem stepu wylęglym w głowach obłąkanych żydowskich zbrodniarzy — ale potęż-

Droga życiowa narodu polskiego obfitowała w ciernie i grudę. Na naszym skromnym kawałku ziemi ciągle staczać musieliśmy wyniszczające nas walki o prawo do bytu, o najelementarniejsze warunki istnienia. Los z nami obchodził się po macoszemu.

Nasze rycerstwo i warstwa szlachecka stale składały ofiary życia i mienia na ołtarzu obrony kraju, która jakże często była obroną Europy. Chłop polski prawie że w każdym pokoleniu zmuszony był rzucić rolę ojca, by chronić się przed pożogą wojenną. Los jego w okresie licznych „potopów”, przevalających się przez ziemie polskie, był najstraszliwszy. Gnano go w jasyr, mordowano tysiącami, zjadała go nędza, poniewierka, tępiły zarazy. Rzemieślnik polski kroćset razy widział zniszczone warsztaty swej pracy i kroćset razy musiał od nowa rozpoczynać budowę swej egzystencji. Młodzież nasza porywana wirami dziejowych zawieruch marniała, nie mogąc dobrać do normalnego zakończenia nauki i siłą zdarzeń spychana na margines życia społecznego w najgorszych warunkach wykuwać musiała podstawy swego bytu lub też skazana była wieść żywot wykołajeńców. Nasza gospodarka nigdy nie mogła wejść na tory normalnego rozwoju. Na wyludnionych terenach często słaba ręka kobiety prowadzić musiała drewniany pług, a Kazimierzowa Polska murowana jakże często zamieniała się po klęskach wojennych na Polskę lepianki i mizernych strzech.

W ten sposób tworzyła się tradycja beziaudu, z której wywodzi się dziedzictwo biedy i zacofaństwa, niemilosierdzie z szyderstwem wytykane nam przez obcych.

Wszystko to cierpieć musieliśmy dlatego, ponieważ samotnie bronić musieliśmy siebie i bratnie narody europejskie przed zalewem ciągłe grożącym od wschodu. Staliśmy na zapomnianym posterunku granicznym wtedy, gdy mocarstwa zachodnie przez 300 lat debatowały nad wprowadzeniem białego względnie czerwonego caratu do europejskiej rodziny narodów. Europa nie słuchała naszego wołania, nie rozumiała, czy też rozumieć nie chciała, że broniąc słowiańszczyzny przed infiltracją krwi i ducha wewnątrzno-azjatyckiego, mongolskiego, że broniąc polskości, że walcząc rozpaczliwie o zachowanie naszej ludowej samoistności, broniliśmy równocześnie nieodłącznej części składowej europeizmu.

Tocząc śmiertelny bój o byt nasz i europejskiej kultury nigdy nie zamykaliśmy się przed wpływami zachodniego świata myśli i postępu. Wręcz przeciwnie! Otwieraliśmy na roz-

cież bramy Polski wszystkim przedstawicielom zachodnich narodów Europy. Ciągły dopływ ożywczych prądów zachodniego świata myśli i kultury był nam koniecznym potrzebny w naszej ciężkiej walce o nasze prawo do życia i rozwoju, a także o bezpieczeństwo Europy, w naszej twardej żołnierskiej doli. Dlatego przodkowie nasi stwarzali w ramach ówczesnych możliwości najlepsze warunki pracy uczonym, duchowieństwu, chłopom, rzemieślnikom i artystom przybywającym z zachodu. Nasi królowie i szlachta, co więcej cały naród, zawsze czuł się związanym intymnymi więzami pokrewieństwa ducha i wspólnych tradycji ze światem zachodnio europejskim. Świadomość tej łączności z zachodem trwała i rozwijała się, mimo że często spotykał nas gorzki zawód, że w nagrodę za naszą walkę z wschodnim najeźdźcą pchano nam w plecy zdradziecki sztylet. Państwa i narody europejskie nie myślały i nie działały w myśl żadnej wyższej europejskiej racji stanu, podczas gdy nieubłagane zrzędzenie losu nas właśnie zmusiło do tego, by być pierwszymi żołnierzami Europy.

I oto nastały czasy przełomu dziejowego, zasięgiem swego działania obejmujące nie tylko Europę lecz świat cały. Postęp techniki i metod gospodarowania kruszy granice państw narodowych, zmusza do tworzenia się wielkich gospodarczo-narodowych wspólnot, zabezpieczających byt każdej jednostce narodowej. W męce i bólu, w potokach krwi, na zgłiszczach tego, co przestarzałe i zmurzałe ale i tego również co sercem naszym drogim i bliskim, Europa jednoczyć się musi w walce, która od wieków była i jest naszą walką, bojem w obronie rubieży naszego kontynentu.

Po raz pierwszy od czasów nieudanej próby Napoleona Europa przeżywa znów straszliwe bóle porodowe swego zjednoczenia. Armie europejskie znów zjawily się na pozycjach broniowych ongiś przez hufce polskie pod sztandarami Batorego i Zygmuntoów. Europa narzecie zaczyna rozumieć! A przede wszystkim dziś już zrozumieli Niemcy! Ci sami Niemcy, którzy przez setki lat jakże często zajmowali wobec nas wrogie stanowisko, a prawie zawsze odnosili się do nas z nieudolnością i podejrliwością. Niemcy dziś wiedzą, że broniąc wschodnich granic Polski XVI wieku, walczą równocześnie o istnienie i byt kulturalny każdego poszczególnego członka europejskiej rodziny narodów, walczą o przeszerzenie życiową narodu niemieckiego, którego byt związany jest z stworzeniem jednolitego gosp.-państw. organizmu nowej Europy.

DZIECKO

Naturalnie nigdy się do tego nie przyznajesz. Ambicją twoją jest, aby cię zawsze brano poważnie. Nawet we własnych myślach jesteś wszystkim, tylko nie tym, czym jesteś naprawdę: dzieckiem tonącym we mgłę najdziwniejszych urojeń.

Zresztą twój wygląd, twoje zachowanie mogą zmylić nawet czujne oko. Chodzisz w tożde profesorskiej, w czapce tramwajarza, w stosowanym kapeluszu dyplomaty, w zmiętej maciejówce nasadzonej na oczy, to znów biegasz w „bładych spodniach” po kortach tenisowych i bawisz panie. Przystudiowałeś gruntownie technikę symulacji. Nauczyłeś się zachowywać, mówić, pisać, rozmawiać, a nawet myśleć tak jak gdybyś był samą powogą, jak gdybyś umiał kojarzyć przyczynę ze skutkiem, rozróżniać niebezpieczeństwa, wazyć argumenty, jak gdybyś był ogledny, roztropny, przenikliwy, logiczny i obiektywny. Jesteś mistrzem w oklamywaniu siebie samego. Twój wyczulony instyngt obrony działa trafnie, podpowiadając ci szepem, że warto udawać, aby za cenę tej komedii za-

gwarantować sobie na swój czysto prywatny użytek, ciepły, o niezmiennym łagodnym klimacie rezerwat marzenia.

Bywa nawet, że w uporze swego infantylizmu posuwasz się do ofiary. Płacisz nieraz cenę życia (!), by za nią wykryć się od obowiązku stanięcia na twardym gruncie rzeczywistości. Tak, bo wtedy mógłbyś zobaczyć prawdę! Tego najbardziej się boisz.

Na imię ci milion. Nie stanowiąc wyłącznej własności jakiejś partii, grupy, czy organizacji, nie wyznajesz żadnego określonego światopoglądu. Można cię spotkać w zwalczających się obozach, rozdawając się, potrajasz, uwielokrotniasz, — a jednak pozostajesz wiecznie ten sam, jeden, niezmienny. Pozostajesz dzieckiem, które z właściwym swemu wiekowi uporem odwraca się od tego, co jest — szukając gorączkowo tego, co chce widzieć.

Nie znosisz nade wszystko jednego: aby cię trzeźwiono. Wolisz raczej, aby cię zabito, bo umrzesz w letargu i do ostatniej chwili nie dowiesz się jak jest naprawdę. Tak, to jest w tobie tak przeraźliwie, tak nieludzko silne: **nie wiedzieć za wszelką cenę.**

Wyobrażasz sobie zapewne, że jesteś znie-nawidzonym. To nieprawda. Trzeźwimy cię

nie, aby ci dokuczali, ale by cię obudzić do prawdy. Zastanawiał się nad tym kiedyś Norwid, czy można kogoś obudzić grzecznie — i twierdził, że jest to niemożliwe. Trudno. Powinieneś to zrozumieć. Ale nie łudzimy się: nie zrozumiesz tego od razu. A nawet wiesz co? Będziesz próbował wmówić innym, a przede wszystkim samemu sobie, że to, co nazwaliśmy tutaj dzieciństwem, urojeniem i marzycielstwem — że to właśnie jest twoja siła. Przyznaj, że to właśnie pomyślałeś zaraz od pierwszych wierszy. „Mam ideał, mam ogień wiary — to moja siła! Przecież tak myślisz.

Ale jeśli wogóle już coś myślisz, jeśli zatem jesteś już pół obudzony, ścierp, że będziemy tobą dalej potrząsać

Nie, nie ma siły w tym, co myślisz i w tym, co czynisz. Nie jest silny człowiek, który walczy o prawo pozostawania pod narkozą, gdyby w imię tego celu nawet życie poświęcił. Siła prawdziwa zawsze jest spokrewniona z jasnym widzeniem i z trzeźwością. Szaleństwa, które zdobywały świat, nie były, jak twoje szaleństwo, uboższe od otaczającej rzeczywistości, ale bogatsze od niej. Wiedziały o niej więcej i lepiej niż otoczenie, miały tę nadwyżkę prawdy, jasności, które stały się źródłem ich zwycięstwa.

SPRAWĘ

Dziś wiemy, że tylko silna wyzwolona od obcych wpływów, Zjednoczona Europa, oparta na zdrowych, sprawiedliwych podstawach może być gwarantką pokoju, owocnej pracy i twórczości dla nas i naszych dzieci. Przyczyną naszej przysłówiowej biedy, naszej gospodarczej słabości w dużej bowiem mierze miały swe źródła w fatalnej wielopanstwowej strukturze Europy, w wewnętrznym rozdarciu klasowym społeczeństw. Olbrzymie zaboby sił i pracy ludzkiej trwoniono na wewnętrzne niesnaski, z których czysty zysk spływał do kieszeni żydowskich czy też angielskich „organizatorów” życia gospodarczego Europy, jawnych czy też ukrytych dysponentów kapitałów wszystkich państw europejskich; jawnych czy też ukrytych spekulantów wolności, plugawiających i bezczeszczących najwznioślejsze hasła i ideały ludzkiego postępu.

Nie ma na naszym lądzie drugiego narodu, któryby w tak wysokim stopniu jak naród polski najżywniejszymi interesami związany był ze sprawą zwycięstwa wspólnego frontu, europejskiego; tocząca się bowiem wojna światowa jest wojną o ukoronowanie wielowiekowej misji narodu polskiego, a równocześnie wojną o zapewnienie podstaw lepszego, a przede wszystkim trwalszego bytu człowiekowi pracy w Polsce. I dlatego twierdzić możemy, że tym razem istotnie Europa walczy za sprawą polską, za tę sprawę, której nie potrafili rozwikłać angielscy wyspiarze i amerykańscy dolarowicze, bo sprawa nasza jest integralnym zagadnieniem rodzącej się nowej struktury europejskiej wspólnoty i poza nią nie można jej rozwiązać.

Oczywiście! Nię możemy być sami bezczynni w chwili, gdy rozstrzygają się najżywniejsze problemy naszego narodu. Były czasy, o jakże niedawno, gdy walczyliśmy za Europę, a Europa sensu walki Polaków nie rozumiała. Dziś, kiedy cały prawie że kontynent przejął polską tradycję obrony zachodu przed obcym nam duchem wschodu, nie możemy ze swej strony wyrzekać się własnego dziedzictwa myśli i czynu. Nie wolno nam popełniać samobójstwa!

Sami zrozumieć musimy wszystkie konsekwencje nowego stanu rzeczy. Musimy te konsekwencje zrozumieć i według nich postąpić. Nie wolno nam trwać w politycznej bezczynności lub — co gorsze jeszcze — prowadzić akcję podziemną przeciwko tym, którzy są dziś obrońcami sprawy zjednoczonej Europy. Tak jest! Każdy kto podnosi dziś broń przeciwko żołnierzowi niemieckiemu,

jest zdradcą sprawy polskiej. Trzeba tę rzecz jasno i niedwuznacznie powiedzieć. Możemy mieć żal wobec Niemców za cierpienia, które dziś jeszcze znosimy, za to czy owo dłańskie rozporządzenie, za to czy owo pociągnięcie polityczne, za godzącą w nasz narodowy honor nienawistny i pogardliwy w pierwszych latach wojny do nas stosunek, ale musimy sobie zdawać sprawę z tego, że postępowanie Niemców wobec nas w dużej mierze wywołane było i jest naszym w wielu wypadkach nierozsądnym po prostu samobójczym zachowaniem się oraz tą okolicznością, że uwaga Niemców całkowicie skupiono jest na toczącej się obecnie walce światów.

Rozkaz dnia więc brzmi: Opuścić podziemia! Każdym czynem dawać dowód zrozumienia istoty położenia Polski i Europy, dawać dowód politycznej dojrzałości i cywilnej odwagi. Czas najwyższy skończyć z polityczną histerią. Chwila jest nie tylko poważna, chwila, którą przeżywamy jest pełna tragizmu, ale od naszej wolnej decyzji wiele zależy. Idźcie o naszą sprawę, o byt lub niebyt polskiej wspólnoty ludowej! Raz jeszcze wobec historii zdać musimy egzamin naszej wartości, raz jeszcze wywiązać się z dziejowego posłannictwa naszego narodu. Nic to, że stoimy wobec świata z gołymi rękoma, z których wytracono broń, nic, że zwątlone są siły nasze brzemieniem krzywd i goryczy. Tym większa musi być siła naszego ducha, tym nieugiętszą wola przetrwania zawieruchy i ocalenia z niej — wiekuistych wartości narodu.

Każdy z nas na swoim posterunku i przy swoim warsztacie pracy musi wykonywać zadania dnia dzisiejszego, każdy z nas musi zdwoić swój wysiłek roboczy, a ci, czyje możliwości pracy nie zostają dotąd należycie wykorzystane powinni wypełniać dodatkowe zadania społeczne oraz ofiarować pracę rąk lub mózgu na jakimkolwiek odcinku aktualnej potrzeby.

Przed wszystkim zaś cała energia ducha narodu skupić się musi w wspólnym wysiłku męznego przeciwstawienia się i walki z łgarstwami i bredniami wrogiej sprawie polskiej agitacji bolszewickiej i anglosaskiej. Przeciwko tym obcym i wysoce nam szkodliwym czynnikom politycznym stworzyć musimy jednolity, zwarty front opinii i myśli narodowej.

Każdy z nas i wszyscy razem zrozumieć musimy doniosłość i istotę zadań, które rozwiązać musimy wspólnymi siłami, my ludzie przełomu!

Dr Feliks Burdecki

„O wyobraźnię polityczną“
(dalszy ciąg ze strony 2-giej)

nym niewątpliwie i zdolnym zamienić w kupę dymiących zgłiszczy pracę stuleci. **Oni czuliby się panami.** Nie w imię „słuszności“, lecz siłą demonicznej zachłanności potwora o nienasyconej żądzy zniszczenia. Tak, wtedy istotnie byłyby Niemcy pokonane — ale wraz z nimi cała cywilizowana ludzkość.

Tak wyglądają podsumowane nadzieje naszych polityków na zniszczenie Niemiec. W rezultacie: albo współzycie z Niemcami stałoby się znowu zagadnieniem, które musieliśmy uporządkować między sobą w duchu zgody — albo złożenie się do wspólnego grobu z pozostałymi narodami Europy. Na współzycie z Niemcami skazani jesteśmy, dopóki słowo **Europa** zachowa jakiś sens Rady Żydów z za oceanu na pewno nam tego współzycia nie ułatwią. Musimy je wypracować naszą uporczywą wolą.

Ale cały ten splot zagadnień jest dla ludzi „robiących“ u nas politykę zupełnie nie zajmujący. Pograżeni są po uszy w abrakadabrze małostkowości. Gwarancje, komentarze do gwarancji, gwarancje wzmocnione, gwarancje gwarancjami, gierki, obietnice, przyrzeczenia — o tym tylko się słyszy. Opętał ich drobny demon wiary w jakiś daleki świat umownych abstrakcji, mających magiczną władzę kształtowania losu narodów. Wiara naiwna i rozpaczliwa. Rozpaczliwa, gdyż towarzyszy jej podświadomie poczucie braku wszelkiej łączności z żywą treścią rozgrywających się procesów dziejowych.

Szałeństwo i pieniądz

Słyszysz się u nas rzeczy z pozoru zupełnie niezrozumiałe. Tak na przykład w tym narodzie idealistów (idealistów autentycznych) panuje niemal mistyczny kult pieniądza. Rozpowszechniona jest u nas wiara w jego wszechmoc; ludzie, którzy go nigdy nie mieli pod dostatkiem, powtarzają z nabożeństwem, że alianci na pewno wygrają wojnę, „bo mają forszę“. Niejeden z tych, którzy to mówią, gotów jest najnieodrzeczniej zginąć jako ofiara egzekucji za jakiś bezsensowny akt sabotażu lub terroru. Bo też to nie żadni „plutokraci“. Ci ludzie wierzą w pieniądź tylko dlatego, że jest on — jak sobie wyobrażają — mechaniczną gwarancją powodzenia. Najważniejsze sprawy mają się rozstrzygnąć poza naszymi plecami, za pomocą małego ruchu ręki potrzebnego do wydarcia i podpisania czeku — a my przyjdziemy do gotowego. Ktoś za nas ureguluje rachunki, za to my mamy na zamówienie umierać. Doskonale! Byłe nie trudzić wyobraźni, byle nie ruszać się z barłogu wygodnej bezmyślności.

Alle mocarstwowość — owszem...

Kto by jednak sądził, że ten osobliwy, bo na swój sposób bezinteresowny, kult mam-

Tego ci właśnie brak. Mówimy w cztery oczy. Przecież pragniesz jednego: spokoju, beztróski, życia bez problemów, okraszzonego (może nawet szczerą) frazeologią patriotyczną. Nie mniej i nie więcej.

...Aby znowu zaszumił wentylator w milej zacisznej restauracji. Szumi jak bąk. Wermut, truskawki (lato więc bez wódki), rozmowy, kobiety, niekończące się anegdoty, wspaniałe projekty, podkolorowane szminka blagi wspomnienia — i nikt nie przeszkadza. Już dnieje. Jutro do pracy, do pracy! Polska musi być! I pojutrze znowu: restauracja, wermut, dancin...

...Albo inaczej. Wrócić do domu po pracy. Zona, dzieci, ciepła kolacja bez kartek, bez zaciemniających zasłon, bez obaw i lęku. Wczoraj był dobry zarobek...

Albo wiejskie cisze, zacisza, zachody słońca — słowem ten polski błogostan, który tak genialnie scharakteryzował Mickiewicz w „Panu Tadeuszu“, mówiąc o szczęsnym życiu ludzi, których jedyną lekturą są „domowe rachunki“. Nie potrzeba być na to szlachcicem i mieszkać w Soplicowie. Da się to osiągnąć i w stanie chłopskim na pięciu morgach jako tako urodzajnej ziemi.

Tego przecież pragniesz. Nie przecz. I nie jest źle, że tego pragniesz. Bo jeśli już jest

na świecie wermut, to na pewno nie poto, by nim nierogaciźnie racice zmywać, lecz by go pić z przyjaciółmi. A cóż dopiero rozkosze pożycia rodzinnego, a cuda ciszy wiejskiej. Nie, nie jest źle, że tego wszystkiego pragniesz. Źle jest, że pragniesz **tylko** tego.

Znaczy to bowiem, że nie chcesz przyjąć wyzwania historii, która weszła w dramatyczną fazę walki o przyszłość świata.

Przypomnij sobie, jak to było dawniej. Cała Polska kręciła się jak konik na karuzeli, murszała cicho jak chory żab pod złotą koroną. Czy jeszcze dzisiaj nie zdajesz sobie sprawy, że jej życie było potworną komedią pozorów? Gdzie tknąć — natrafiałeś na słomiany kilkut chochoła. Pozornie wszystko ładnie. Po Warszawie kręciły się roje samochodów, zupełnie jak w wielkich europejskich stolicach, ale w motoryzacji staliśmy na ostatnim miejscu. Kiedy wybuchła wojna, przez ulice stolicy pociągnęły sznury drabiniastych wozów zaprzężonych w chude, upiornie karłowate koniki. Z dna podniosła się Polska prawdziwa, zdeptując w oka mgnieniu cienitką warstwę lakierni poieszni. Oto jestem, patrz! — krzyczała. To dziwne, — mówiłeś sobie zdumiony — wszystko było przecież takie ładne. Oglądałeś się na wszystkie strony starwożony, niby dziecko

w przedudnym składzie zabawek, które jakaś nieznana siła poczęła niszczyć. I wracały ci wspomnienia...

Mieliśmy wielki, wspaniały port (większość zakładów i urządzeń w rękach żydowskich szubrawców ogalających kraj i skarb państwa).

Mieliśmy piękną sztukę ludową, którą chlubił się przed zagranicą (ale garnce rze polescy konali pod śrubą nikczemnego wyzysku żydowskich spekulantów).

Mieliśmy wielką instytucję kredytowo-oszczędnościową w pięknym gmachu stolicy (pod kierownictwem gudłaja zgarniającego potworne zyski).

Mieliśmy kulturę (zbeszczeszczoną przez arcy polskich szajceców eksploatujących ją, niby dobrze prosperujący dom publiczny) — no i naturalnie czeladź, konkursy hippiczne, sny mocarstwowe — i „pana wojewodę w terenie“...

Wszystko było tak ładne. Nie dziwnego: nie było przecież okupanta. Byliście „niezależni“. Z pojęciem okupanta kojarzy się pojęcie munduru. Jak bez munduru i dowód osobisty na „Ziemowita Szczerzepolskiego“ — wszystko w porządeczku.

ny jest wyrazem rezygnacji z wieloich ambicji politycznych — myliłby się gruntdownie. Z jednej strony marzenia „aliancko“ myślącej części społeczeństwa są naprawdę bardzo skromne. Sprowadzają się do życzenia, aby Anglia i Ameryka wykombinowały nam względnie spokojny byt w newralgicznym punkcie Europy, za co my będziemy ich wiernymi wasalami. Z drugiej jednak strony, Polska ma być mocarstwem i potężną Gogwością do owczego pędu za angielskim skopem kojarzy się ze snami o potędze! Godzimy się bez oporu na rolę agenta domu handlowego Churchill i Roosevelt — bo do tego przecież sprowadzają się tak zwane projekty „federacyjne“ środkowej Europy — ale to w niczym nie przeszkadza naszym aspiracjom „mocarstwomym“. Zbyteczne byłoby udawać, że mogą nam wpaść w ręce tylko papierowe rekwiizyty tej mocarstwowości, jako nagroda za uległość wobec cudzych interesów handlowych. „Misją“ naszą byłoby bowiem podtrzymać skłócenie polityczne i gospodarcze Europy, potrzebne do tego, aby nadal była ona terenem rozgrywek i eksploatacji anglo-żydowskich macherów. Takie są marzenia dzisiejszego „mesjanizmu“ polskiego

Nauczyciele

Jak mogło dojść do tego, że naród, który jak żaden inny ceni najgłębiej poświęcenie i idealizm w wszelkiej postaci, godzi się na rolę handlowego agenta anglo-amerykańskich giełdźarzy i przemysłowców, ba marzy o niej? — Lenistwo, małostkowość i powierzchowność myślenia nie tłumaczą wszystkiego. Łatwo dostrzec ciemną plamę trądu żydowskiego, który nas skaził. Wina spada naturalnie na nas, nie na Żydów: nie trzeba było współżyć z trędowatymi. Żydzi zaszczepili nam lekkceważący stosunek do każdego rzetelnego wysiłku ku zorganizowaniu życia międzynarodowego na szerokiej, sprawiedliwych podstawach i zniesieniu jego potwornych paradoksów społeczno-gospodarczych. Nauczycieli nas nazywać też próby pogardliwie „iznami“, które nam są niepotrzebne (wyjątek naturalnie stanowi komunizm, który jest świętością, albowiem wzrastał w cieniu Brody ostatniego proroka żydowskiego Marksa). Oni nauczycieli nas kultu „forsy“ i zaufania w jej wszechmoc, co też z niezaprzeczoną talentem ilustrowali w życiu Polski przedwojennej. Od nich przejęliśmy wiarę w kombinatorstwo polityczne, bluff, międzynarodową machlojkę — i pogardę dla zdrowego realizmu, który odrzucając kombinacje stara się na tej ziemi, na której wiedzimy od wieków swój trudny, pełen wzlotów i załamań, żywot, w oparciu o odwieczne też warunki geopolityczne — pracę, roztropnością, sumien-

nym wknięciem w nowe problemy, wyłonione przez nowe prądy, byt narodu ugruntować.

Kombinatorstwo polityczne jest dobrą, nawet jedyną metodą dla Żydów, tego narodu dobrowolnie eksterytorialnego, opierającego swe wpływy i potęgę na kolizjach interesów innych narodów i klas społecznych. Ich wyobraźnia polityczna może iść tylko ścieżkami kombinacji i tam jedynie mogą Żydzi szukać powodzenia. Ale my jesteśmy narodem osiadłym i myślimy jak naród osiadły. Cwaniactwo polityczne zaszczepione na naszej duszy wydaje potwornego dziwolęga: idealistę-kombinatora niezdolnego do czynu politycznego, gdyż kombinator wciąż przeszkadza idealistom, a idealista kombinatorowi.

Jednak idealizm pozostanie, tkwi bowiem u podstaw psychiki polskiej kombinatorstwo musimy wypłenić.

Nie krzewimy na łamach naszego pisma łatwego optymizmu. Nie jest dla nas zagadnieniem to, czy Niemcy są mili czy nie, czy nam się z nimi dziś żyje słodko czy gorzko. Są ważniejsze zagadnienia, do których musimy się przebieć, aby uratować przyszłość własnego narodu. Na to musimy odbudować w sobie wyobraźnię polityczną zdolną objąć w całej ich powadze i głębi sprawę i zadania, które stoją przed nami i przed Europą. Dopóki tym narzędziem nie zawładniemy, dopóty skazani będziemy na błądzenie po bezdrożach pseudorealizmu politycznego, jałowego kombinatorstwa, którego klucze nie leżą w naszych rękach i który otwiera przed nami coraz dalsze korytarze labiryntu bez wyjścia. Jak długo ten stan trwa, wyrażenie „polska myśl polityczna“ pozostanie tym, czym jest niestety dotychczas — frazesem, któremu w rzeczywistości nic nie odpowiada.

Post scriptum. Ostatnie tygodnie dostarczają nam szeregu dobitnych ilustracji tego, co nazwano tu brakiem wyobraźni politycznej. Wybór jest bardzo bogaty, ale zatrzymamy się tylko na dwóch przykładach

Przykład pierwszy. General Sosnkowski wydał rozkaz siłom zbrojnym podziemia współdziałania z oddziałami armii czerwonej. Było to „współdziałanie“ bardzo osobliwe, wyrażało się bowiem jak wiadomo, w rozstrzelaniu i wieszaniu dowódców polskich spieszących do współpracy z „bratnimi oddziałami sowieckimi“. Czyż można było przypuszczać po Katyniu i deportacjach, znając „program“ polityczny bolszewików i ich stosunek do oficera polskiego, że koniec może być inny? Tylko zupełny brak wyobraźni mógł pchnąć ludzi, skądinąd szczerze nienawidzących wszystkiego co bolszewickie, ku podobnej decyzji.

Ale dość o przeszłości. Nie straszna jest przeszłość. Straszna jest teraźniejszość. Zaniedbania, lekkomyślność, błędy, nawet błędy fatalne zdarzają się w życiu narodów. Naprawdę straszna jest tylko ślepotą. Straszne jest w dzisiejszym naszym życiu to, że Polacy piszą, mówią, myślą dziś tak jak pisali, mówili i myśleli przed pięć laty. Że nie widzą, co się dzieje, co minęło na zawsze i co nadchodzi. Że klócą się o głupstwa. Że nie odróżniają rzeczy ważnych od błahych, że nie usłyszeli do dziś wołania dziejów, że na groźny pomruk toczącej się lawiny wypadków odpowiadają jazgotem głupich swarów i kołowaczną frazesów. Że prowadzą jakąś obłądną walkę o „władzę“, której przecież — cokolwiek się zdarzy — dzieci nie dostaną w ręce. Że nie wierzą, by mogło istnieć pod słońcem coś więcej poza grą kombinacji politycznych — i szaleństwem straconej ofiary. Między tymi dwoma biegunami krąży ich myśl, na nich wspiera się ich wiara, one podtrzymują ich nadzieje.

Dziecko wciąż śpi snem letargicznym. Jednak pierś jego unosi się, serce bije. Wierzymy, że to śmierć pozorna. I dlatego budzić będziemy póki sił starczy.

Ale nie na tym koniec. Ponieważ epilog wojskowej „współpracy“ polsko-bolszewickiej zakończył się tragedią, trzeba było, ratując pozory, jakoś to wytłumaczyć — i wytłumaczono! „Jeżeli jednak za cenę nowej krwi polskiej i nowych naszych ofiar uda się przekonać i zmobilizować opinie i stanowisko Anglosasów po naszej stronie, analogicznie jak zmobilizowaliśmy ich we wrześniu 1939, przyjmując wojnę z Niemcami — to cena zapłacona w najświeższej sprawie nie będzie za wysoka.“ Pomińmy zdumiewającą naiwność twierdzenia, iż to Polska „zmobilizowała“ Anglię na wojnę z Niemcami (niiby Anglia nie chciała, dopiero myśmy ją namówili!!!).

Tak, to się nazywa realizm polityczny! — wymordowanie dowódców polskich jako cena przekonania Anglików, że bolszewicy to zwykłe zbiry! Jakby tego dawno nie widzieli, jakby o zbrodniach bolszewickich nie byli najdokładniej poinformowani, jako też o ich prawdziwym stosunku do Polski i Polaków, jakby mało jeszcze było żniwo śmierci w Katyniu. A nade wszystko, jakby ta nowa zbrodnia mogła w najmniejszym stopniu wpłynąć na zmianę stosunku Wielkiej Brytanii do Sowieców, wytyczonego przecież zupełnie innymi względami niż interes Polski. Ale nie — najważniejsze, że zasadom „wyższej“ gry politycznej stało się zadość. Niestety za cenę bezsensownego przelewu krwi polskiej.

Drugi przykład. Wciąż w pewnych kołach dyskutuje się nad ułożeniem dalszych stosunków polsko-sowieckich. Ustalił się pogląd, że współdziałanie z Sowieciami uzależnione być winno od uznania przez nie państwowej suwerenności polskiej. Aha, więc jeżeli Stalin powie: „uznaje“ — to wszystko będzie w porządku i szlama z bolszewikami murowana? Mimo całego krytycyzmu wobec kół, z których omawiany pogląd pochodzi, sądzimy jednak, że nie myślą tego. Ale myślą coś niewiele mądrzejszego. Myślą zapewne, że takie oświadczenie byłoby instrumentem w rękach Anglii, która mogłaby na Sowieciach „wymusić“ otrzymanie obietnicy. Wciąż wszechmoc papierka! Nie jest istotne to, **czym Sowiety są**, jakie mają metody działania i do czego dążą, ale to, że jakiś minister brytyjski, który już udowodnił za co ma swoje wobec nas obietnice, raz jeszcze — powiedzmy! — rzuci na odepcone niewykonalną gwarancję. Potwora torującego sobie drogę ku Europie ogniem i żelazem chce się okiełzać świstkiem papieru, który ma za nas ktoś trzeci wygrać. Tak. Bo im więcej ogniw pośredniczących, im więcej punktów, omówień, kawalków i teczek — tym naturalnie mądrzej, subtelniej i polityczniej. Nie wiadomo doprawdy: rozpacz czy obumieranie?

J. E. Skiński

Przecież tak czułeś i tak myślałeś. Jakże chcesz, żeby cię nie nazywać dzieckiem?

Ba, myślisz tak i dziś jeszcze! Nawiasem mówiąc, czy nie zastanawiałeś się nigdy nad taką na przykład drobnostką, że w Polsce przedwojennej Polesie mniej więcej marło z głodu (w stolicy odchodzili tonny frykasów, cysterny wina) — ale za to dziś, mimo ciężaru kontyngentów i trudnych ogólnie znanych warunków jest jednak w kraju co jeść. Kraj nie taki widać biedny i to Polesie mogłoby też wtedy nie mrzeć głodem, gdyby wizyty „w terenie“ były mniej pokazowe, i mniej operetkowe. Gdyby trochę ustalizowano gospodarke, zrobiono porządek z żydami i ukrócono infantylizm reprezentacyjno-prestżowy na korzyść ordynarnej pracy. Ale to byłoby podeptanie wszystkich „świętości“ demokratycznych. Można pobawić się w rządy autorytatywne, ale nie można wprowadzać ich naprawdę. Więc już raczej niech Polesie mrze głodem, jeżeli nie może być inaczej.

Ty jednak nie lubisz się martwić. Lubisz natomiast bawić się klocekami. Wykaligrawałeś na nich napisy: „suwerenność“, „niepodległość“, „mocarstwowość“. Klocek można ustawiać na coraz to nowe sposoby.

W ostatniej chwili

Nasza skrzynka pocztowa przyniosła nam obfity materiał korespondencyjny. Za słowa zachęty i zrozumienia serdecznie dziękujemy. Krzepi nas myśl, że idee przez nas rzuczone tak szeroki znalazły oddźwięk. Nie brakło i głosów wrogich oraz potwarzy w druku. Wynika z nich, że pewne koła uważają nas — czy też udają, że uważają — za ludzi zaprzeczanych niemieckiej propagandzie i spełniających postulszenie jej rozkazów. Nie nas te oszczerstwa i groźby nie obchodzą. Póki żyjemy, głosić będziemy to, co za prawdę uważamy i w czym widzimy ratunek dla naszej Ojczyzny.

Sprostowanie.

W artykule p. J. E. Skińskiego pt.: „Cena krwi“ (nr. 1) znajduje się wzmianka o przeniesieniu polskiego rządu emigracyjnego do Kairu. Jak wiadomo, przeniesienie to nie doszło do skutku. Okoliczność ta, rzecz prosta, w najmniejszym stopniu nie godzi w meritum poglądów autora